

Jan Brzechwa

Akademia

Pana

Kleksa



K Kolorowa
Klasyka







Jan Brzechwa
Akademia Pana Kleksa

Redakcja:
Agnieszka Antosiewicz

Korekta:
Agnieszka Antosiewicz
Maria Zagnińska

Ilustracje i opracowanie graficzne:
Mikołaj Kamler

ISBN 978-83-7517-448-9

© Copyright by Spadkobiercy Jana Brzechwy

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.
2025

Wydawnictwo GREG®
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
tel. 12 680 15 50
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.
Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Skład i łamanie:
Pracownia Register





Ta oraz inne bajki

Nazywam się Adam Niezgódka, mam dwanaście lat i już od pół roku jestem w Akademii pana Kleksa. W domu nic mi się nigdy nie udawało. Zawsze spóźniałem się do szkoły, nigdy nie zdążyłem odrobić lekcji i miałem gliniane ręce. Wszystko upuszczałem na podłogę i tłukłem, a szklanki i spodki na sam mój widok pękały i rozlatywały się w drobne kawałki, zanim jeszcze zdążyłem ich dotknąć. Nie znosiłem krupniku i marchewki, a właśnie codziennie dostawałem na obiad krupnik i marchewkę, bo to pożywne i zdrowe. Kiedy na domiar złego oblałem atramentem parę spodni, obrus i nowy kostium mamy, rodzice postanowili wysłać mnie na naukę i wychowanie do pana Kleksa. Akademia mieści się w samym końcu ulicy Czekoladowej i zajmuje duży trzypiętrowy gmach, zbudowany z kolorowych cegiełek. Na trzecim piętrze przechowywane są tajemnicze i nikomu nieznanne sekrety pana Kleksa. Nikt nie ma prawa tam wchodzić, a gdyby nawet komuś zachciało się wejść, nie miałby którejdy, bo

Strzał był niechybny. Wilk skulił się, wyprężył jakby do skoku, wreszcie padł tuż u kopyt Ali Baby. Zeskoczyłem z siodła i zbliżyłem się do zabitego zwierza. W chwili jednak, gdy stałem nad nim, podziwiając jego wielki wspaniały łeb, wilk ostatnim widocznie wysiłkiem dźwignął się i wbił mi kiel, ostry jak sztylet, w prawe udo. Poczułem przeszywający ból, ale już po chwili szczęki wilka same się rozwarły i łeb opadł z łoskotem na ziemię.

Równocześnie ze wszystkich stron rozległy się groźne, przeciągłe wycia wilków.

Półprzytomny z bólu i przerażenia, dosiadłem Ali Baby i pocwałowałem w kierunku pałacu. Gdy wkradłem się do ogrodu, była jeszcze noc. Zbliżyłem się do okna i wskoczyłem do pokoju, pozostawiając konia własnemu losowi. Nikt najwidoczniej nie dostrzegł mojej nieobecności, toteż jak najszybciej położyłem się do łóżka i natychmiast usnąłem kamiennym snem. Kiedy się rano zbudziłem, ujrzałem sześciu lekarzy i dwunastu uczonych pochylonych nad moim łóżkiem i z zakłopotaniem kiwających głowami. Z mego odśnieżonego uda małymi kroplami sączyła się krew. Lekarze nie mogli w żaden sposób dociec przyczyny krwotoku, ja zaś w obawie przed ojcem przemilczałem nocną przygodę i spotkanie z wilkiem. Czas upływał, krew sączyła się z ranki i lekarze nadworni w żaden sposób nie mogli jej zatamować. Sprowadzono najznakomitszych chirurgów stolicy, ale ich wysiłki również speszły na niczym.

Upływ krwi wzmagął się z godziny na godzinę. Wieść o mojej chorobie rozeszła się po całym kraju, tłumy ludu kłęzczały na placach i ulicach stolicy, zanosząc modły o moje wyzdrowienie.



Matka, czuwając przy mnie, zalewała się łzami, a ojciec mój i król rozeszłał do wszystkich krajów prośbę o skierowanie najlepszych lekarzy i chirurgów.

Niebawem przybyło ich tak wielu, że w pałacu zabrakło dla nich pomieszczeń.

Ojciec za powstrzymanie krwotoku wyznaczył nagrodę, za której cenę można było nabyć całe państwo, cudzoziemscy lekarze domagali się jednak jeszcze więcej.

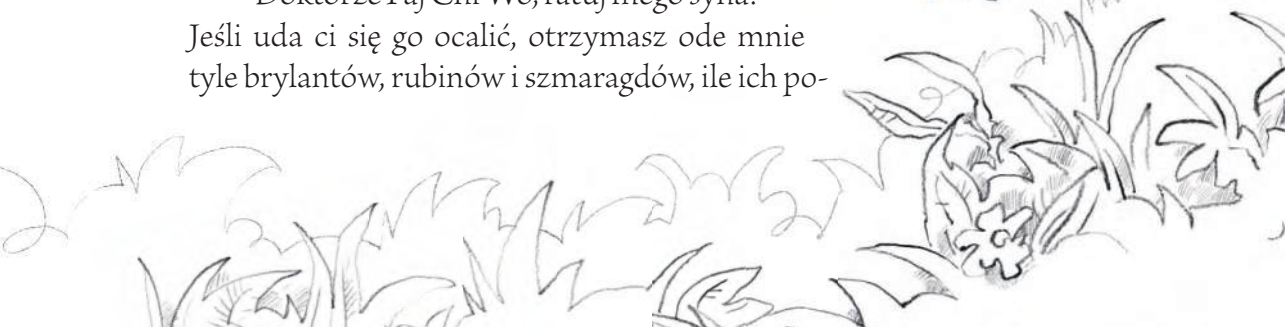
Długim korowodem przesuwali się obok mego łóżka, oglądali mnie i badali; jedni kazali mi łykać rozmaite krople i pigułki, inni znowu nacierali ranę maściami i posypywali ją proszkami o dziwnych zapachach. Byli też i tacy, którzy modlili się tylko albo wymawiali słowa tajemniczych zaklęć. Żaden z nich jednak nie zdołał mnie uleczyć; gaśłem i nikłem w oczach, i krew sączyła się ze mnie nadal.

Gdy wszyscy już stracili nadzieję na moje ocalenie i lekarze, widząc swoją bezsilność, opuścili pałac, straż dworska doniosła o przybyciu chińskiego uczonego, który stawiał się na wezwanie mego ojca.

Niechętnie sprowadzono go do mego łóżka, nikt już bowiem nie wierzył, aby mógł istnieć jeszcze jakikolwiek ratunek dla mnie, i cały kraj był zagrożony w żałobie. Przybysz ów był nadwornym lekarzem ostatniego cesarza chińskiego i przedstawił się jako doktor Paj Chi Wo.

Ojciec mój powitał go z rozpaczą w głosie:

– Doktorze Paj Chi Wo, ratuj mego syna!
Jeśli uda ci się go ocalić, otrzymasz ode mnie tyle brylantów, rubinów i szmaragdów, ile ich po-



Nie pomogło również wymachiwanie chustkami i ręcznikami. Na miejsce zabitych much pojawiały się nowe i nacierały na nas z większym jeszcze natręctwem.

Pan Kleks, który dotąd – fruując po pokojach – prowadził z muchami zaciętą walkę, opadł wreszcie z sił, założył nogę na nogę i wisząc w powietrzu, zamyślił się głęboko. Muchy w jednej chwili obsiadły go w takiej ilości, że nie było go wcale spoza nich widać.

Wreszcie pan Kleks stracił cierpliwość. Wypłynął szybko przez okno i po paru minutach wrócił, niosąc w palcach pająka krzyżaka. Przyłożył doń powiększającą pompkę i pająk szybko zaczął się powiększać. Gdy był już wielkości kota, pan Kleks wzbił się wraz z nim w górę i umieścił go na suficie. Niebawem ujrzeliśmy mnóstwo nitek zwieszających się z sufitu aż do podłogi, a po kwadransie olbrzymia pajęczyna przedzieliła pokój na dwie części. Setki i tysiące much, całe ich zgiełkliwe roje wpadały w nastawione sieci, ale nic nie było w stanie osłabić ich waleczności i bojowego ducha. Pająk rzucał się żarłocznie na złowione w pajęczynę muchy, pożerał ich szturmujące oddziały, wysysał z nich wszystkie soki, miazdżył je i tratował wielkimi włochatymi łapami, ale po krótkim czasie tak już się nimi nasycił, że działanie powiększającej pompki ustało. Pająk zaczął się zmniejszać, wrócił do swej normalnej wielkości, zmniejszyła się również jego pajęczyna i muchy w jedno okamgnienie rozszarpały go na strzępy, mszcząc się w ten sposób za klęskę swych towarzyszek. Królowa much uniosła z sobą jako trofeum krzyż, zdarty niby skalp z pleców pająka.

Wówczas pan Kleks przywołał nas do siebie i oznajmił, że właśnie przed chwilą wymyślił specjalny rodzaj



muchołapki, która uwolni naszą Akademię od plagi much.

Po chwili przyniósł do sali szkolnej miednicę z wodą, paczkę gumy arabskiej, mydło i szklaną rurkę. Podczas gdy my opędzaliśmy go od much, pan Kleks rozrobił w miednicy klej razem z mydłem i za pomocą szklanej rurki zaczął wypuszczać bańki mydlane, które jedna po drugiej unosiły się w powietrze.

Zastosowanie tych muchołapek dało nadzwyczajne wyniki.

Muchy oblepiały ze wszystkich stron kleistą powierzchnię baniek i nie mogąc się już oderwać, razem z nimi opadały na podłogę. Pan Kleks nie ustawał w pracy. Wypuszczał coraz to nowe bańki, my zaś pochwyciliśmy miotły i żwawo wymiataliśmy stopy czarnych od much muchołapek.

Niebawem wszystkie pokoje, sale, pomieszczenia i korytarze zapełniły się mydlanymi bańkami pana Kleksa.

Muchy rzucały się na ich tęczową, zdradliwą powierzchnię i chmurami przylepiały się do nich. Żadnej nie udało się uniknąć tego żałosnego losu. Pan Kleks dmuchał w rurkę bez przerwy i po godzinie w całej Akademii nie było już ani jednej muchy, tylko kilkanaście prześlicznie mieniących się baniek tu i ówdzie unosiło się jeszcze nad naszymi głowami.

Wymiecione przez nas muchy poukładaliśmy na dziedzińcu w wysokie sterty i dopiero nazajutrz rano trzy ogromne ciężarówki, przystane z Zakładu Oczyszczania Miasta, uprzątnęły to obrzydliwe cmentarzysko.

Tak zakończyła się wojna pana Kleksa z muchami.

W tym wszystkim jedna rzecz wprowadziła nas w zdumienie: gdy znaczna część much była już wytopiona, spoza ich czarnych rojów wyłoniła się postać fryzjera Filipa, który spał na otomanie w gabinecie pana

Alojzy bez żadnych przeszkód buszował po sali, wreszcie zbliżył się do stołu zastawionego przysmakami pana Kleksa i z całych sił uderzył w stół kijem. Rozległ się trzask, odłamki porcelany i szkła posypały się we wszystkie strony, a kremy i napoje ochlapały najbliższych gości.

Anatol usiłował obezwładnić Alojzego, ale jednym pchnięciem pięści został obalony na podłogę.

Powstał popłoch nie do opisania.

Jedna królewna i dwie małe księżniczki zemdłały, pozostali zaś goście pozrywali się z miejsc i zaczęli uciekać drzwiami i oknami.

Pan Kleks stał nieruchomo jak słup soli, skurczył się tylko nieco i ze smutkiem spoglądał na Alojzego.

– Hej! Panie, panowie! – krzyczał Alojzy – może byście się tak trochę pospieszyli? Zmykaj, Kaczko-Dziwaczko, bo cię zjem na obiad! Uciekaj, mrówko, bo cię rozdepczę! Teraz ja się bawię, cha-cha-cha!



Z ciżby tłoczących się do drzwi gości wysunęła się nagle piękna błada pani o dumnej postawie. Podeszła do Alojzego i rzekła doń stanowczym tonem:

– Jestem Wieszczką Lalek. Żądam od ciebie, abyś natychmiast opuścił salę!

Ale Alojzy nie był już zwykłą lalką i dlatego Wieszczka nie miała nad nim żadnej władzy. Roześmiał się jej szyderczo w twarz, odwrócił się do niej plecami i rozpychając się brutalnie, zawołał:

– To jeszcze nie koniec, panie Kleks! Odechce się panu pańskich bajeczek! Z pańskiej Akademii zostaną trociny. Rozumie pan? Tro-ci-ny!

Alfred, nie mogąc znieść tej sceny, rozplakał się.



bić człowieka. I co pan zrobił? Zmarnował pan cały trud, cały wysiłek mojego życia! Nie ujdzie to panu płazem, nie, panie Kleks. Ja panu pokażę, co potrafi Filip, kiedy chce się zemścić. Ja panu pokażę!

Po tych słowach wyjął z bocznej kieszeni długą brzytwę, otworzył ją i zbliżył się do choinki.

Pan Kleks obserwował go w milczeniu i stał się tylko jeszcze mniejszy, aniżeli był przedtem.

Filip, niepowstrzymywany przez nikogo, zabrał się do roboty. Ostrzem brzytwy obcinał po kolei wszystkie płomyki świec jarzących się na choince i chował je do kieszeni futra.

W miarę znikania płomyków w sali zaczęło się ściemniać, aż wreszcie zapadł zupełny mrok. Co się działo dalej, nie wiem. Ogarnięty trwogą wybiegłem na schody i nie wiedząc nawet, kiedy i jak, znalazłem się na dziedzińcu.

Była piękna, mroźna noc grudniowa. Śnieg przestał padać i w świetle księżyca iskrzyła się jego biel.

Cała Akademia, jej mury i park widoczne były jak na dłoni.

Mignęła mi przed oczami postać Anastazego, a po chwili usłyszałem zgrzyt zamka. Anastazy otworzył bramę i jak przez sen zobaczyłem przesuwające się przede mną wydłużone cienie moich kolegów.

Chciałem krzyknąć: „Do widzenia, chłopcy!”, ale głos zamarł mi w krtani.



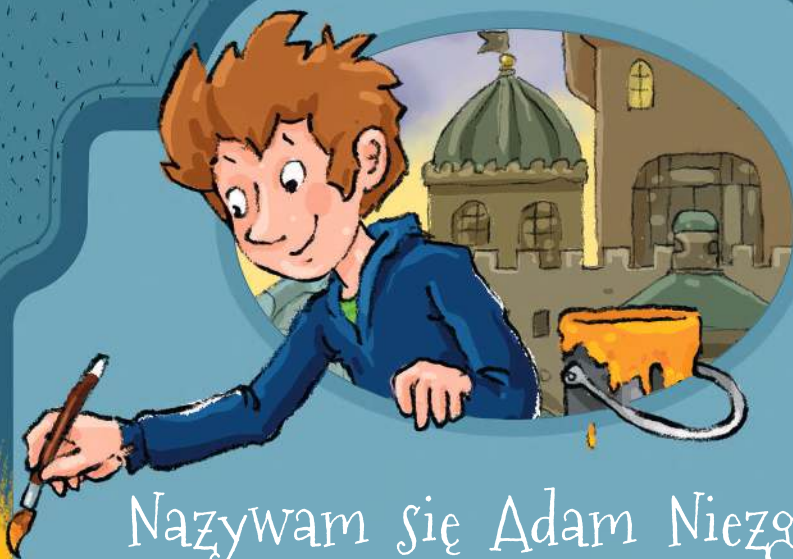
Spis treści

<i>Ta oraz inne bajki</i>	5
<i>Niezwykła opowieść Mateusza</i>	14
<i>Osobliwości pana Kleksa</i>	25
<i>Nauka w Akademii</i>	37
<i>Kuchnia pana Kleksa</i>	49
<i>Moja wielka przygoda</i>	61
<i>Fabryka dziur i dziurek</i>	73
<i>Sen o siedmiu szklankach</i>	83
<i>Anatol i Alojzy</i>	99
<i>Historia o księżycowych ludziach</i>	109
<i>Sekrety pana Kleksa</i>	121
<i>Pożegnanie z bajką</i>	131









Nazywam się Adam Niezgódka,

mam dwanaście lat i już od pół roku jestem w Akademii pana Kleksa. W domu nic mi się nigdy nie udało. Zawsze spóźniałem się do szkoły, nigdy nie zdażyłem odrobić lekcji i miałem gliniane ręce. Wszystko upuszczałem na podłogę i tłukłem, a szklanki i spodki na sam mój widok pękały i rozlatywały się w drobne kawałki, zanim jeszcze zdażyłem ich dotknąć. Nie znosiłem krupniku i marchewki, a właśnie codziennie dostawałem na obiad krupnik i marchewkę, bo to pożywne i zdrowe. Kiedy na domiar złego oblałem atramentem parę spodni, obrus i nowy kostium mamy, rodzice postanowili wysłać mnie na naukę i wychowanie do pana Kleksa.

Kolorowa
Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków www.greg.pl

Skompletuj całą serię Kolorowa Klasyka:

ISBN 978-83-7517-448-9



9 788375 174489



i inne tytuły.